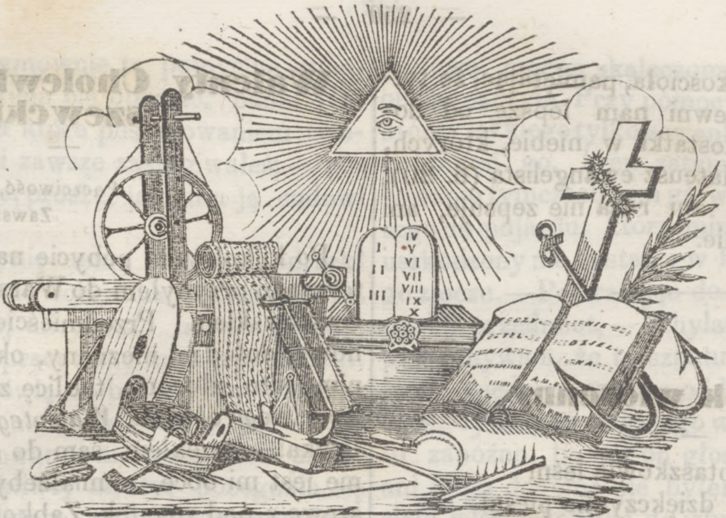
№ 32

Warszawa

Dnia 29 Lipca (10 Sierpnia) 1856.

Niedziela 13ta PO ŚWIĄTKACH.



KANTOR GŁÓWNY

W DRUKARNI J. UNGER

przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 391.

PRENUMERATA

rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.

Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych Warszawskich płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Wszechmogący, wieczny Boże! który obfitemi łaskami Twemi, proszących Ciebie, przewyższasz i zasługi i żądze, wylej na nas Twe miłosierdzie, a odpuść, w czem nas strofuje sumienie, o co zaś prosić Cię nie śmiemy, racz litościwie przydać. (Modlitwa Kościelna na niedzielę 13 po Świątkach).

Wniebowzięcie Najświętszéj Maryi Panny.

Uroczystość Wniebowzięcia N. M. Panny Kościół Święty obchodzi dnia 15 Sierpnia, na pamiątkę i uczczenie śmierci, zmartwychwstania i przeniesienia się Maryi z duszą i ciałem, nie uległem żadnemu zepsuciu, z ziemi do nieba. Dawniéj wyraz *Wniebowzięcie* oznaczał w ogólności dzień śmierci każdego świętego, bo dusza jego w tym dniu do nieba przechodziła. Uroczystość ta N. M. P. jest najdawniejszą, i najsolenniéj obchodzoną, znana pod różnemi nazwami, jako to: *Wniebowzięcie*, *Śmierć*, *Zaśnienie*, *Odpocznienie* i t. p.

Dziś Uroczystość Wniebowzięcia N. M. P. w języku ludowym zowie się *Zielną*, gdyż w tym dniu lud przynosi, dawnym obyczajem ojców, zioła różne do poświęcenia. Kościół Sw. święcąc zioła i kwiaty przypomnieć chce wiernym cnoty Maryi, która w piśmie Ś do ziół i kwiatów się przyrównywa.— Dlatego prosi Boga, aby obudził w nas miłość cnót i dobrych uczynków, które wiązki ziół i kłosów, do poświęcenia przynoszone, wyrażają. Lud dlatego je znosi do święcenia, iżby dziękował Bogu za zboże, owoce, nam i zwierzętom udzielane, a nadto uzyskał dla tych ziół moc leczenia rozmaitych chorób.

Zwyczaj święcenia nowo zbieranego zboża i owoców, sięga pierwszych wieków Chrześciaństwa, lecz w niejednym czasie wszędzie obchodzony, stosownie do tego, jak gdzie prędzéj, lub późniéj zboże zbierano.

U nas najwłaściwiéj obrano miesiąc Sierpień, czas żniw i zbiorów, bo nikt o błogosławieństwo dla tych czynności konieczne, potężniéj u Boga wstawić się nie zdoła, nad Maryą Matkę Zbawiciela.

W modlitwie podczas téj uroczystości odbywanéj, każdy powinien wzbudzić tę intencyą:

—aby wielbić Maryą z okoliczności Jéj wniebowzięcia.

— aby naśladować Jéj cnoty, i uprosić sobie śmierć szczęśliwą, na wzór błogosławionego przejścia Maryi z ziemi do nieba, i w końcu:

— aby złożyć, gdy nas powoła, przed Bogiem z życia ziemskiego zebrane snopki dobrych uczynków, spojone miłością Boga, na wzór kwiatów

i ziół znoszonych do kościoła, pamiętając, że tylko taka miłość zapewni nam lepsze od doczesnych skarby i dostatki w niebie, których, jak się wyraził S. Mateusz ewangelista (6. 20), ani mól nie zgryzie, ani rdza nie zepsuje, ani złodziéj nie wykradnie.

Poranek wiosenny.

Zabłysła zorza—ptaszkowie leśni
Spiewają Stwórcy dziękczynne pieśni,
Motyl z polnemi kwiaty się pieści,
Klekocze bocian,— wietrzyk szeleści
I przezroczysty strumyk, co płynie,
Mrucząc niekiedy— znika w gęstwinie.

Wszystko odżyło z zorzą w naturze!
Gdera coś stary wiatrak na górze,
Swiat się raduje w porannéj krasie,
Młody pastuszek bydełko pasie,
Fujarka ginie, w dzwonów odgłosie,
A dzwony jęczą precz precz po rosie.

Biały gościniec, jak biała wstęga
Daléj za wioskę, za rzeczkę sięga,
Bliżéj zaś łąki zorana rola,
Gdzieniegdzie grusza— smukła topola,
A tam gdzie droga wbok się rozdziela,
Stoi krzyż— na nim twarz Zbawiciela.

O piękny dzionek!— czemuż tak mało,
Dni takich w życiu nam się dostało?
Krótkie dni szczęścia;— boleść przyciśnie,
I znika zorza, co szczęściem błyśnie;
I chmury szare błękit zabrudzą
I promień szczęścia w sercu wystudzą.

Lecz jeśli w duszy twéj żywisz *wiarę*;
I żeś już spełnił goryczy miarę,
To możesz w Bogu mieć dziś *nadzieję*,
Że ci pogodny dzień zajaśnieje,
Że się doczekasz szczeréj radości,
Wraz z przyjściem na świat bratniéj *miłości*.

Walenty Cholewka, majster szewcki.

Poczciwość, wytrwałość i praca,
Zawsze w końcu zbogaca.

Po kilkoletnim pobycie na wsi, znaglony interesami przybyłem do Warszawy. Przechodząc Krakowskiem Przedmieściem, spostrzegłem nowy, dotąd mi nieznany, okazały sklep, a nad nim suto złoconą tablicę z napisem: „*Skład wszelkiego obuwia, Walentego Cholewki.*—Cholewka!— rzekłem sam do siebie, to nazwisko nie jest mi obce, — miałżeby to być ów biedny szewc z pod rogatek Ząbkowskich, którego ubóstwo, pracowitość i poczciwość, weszły były u mieszkańców Pragi w przysłowie?— Ha! więc zobaczmy,— a że potrzebowałem właśnie świeżego obuwia, otwieram więc drzwi, i wchodzę do sklepu.

Zaraz na wstępie uderzyła mnie wytworność wewnętrznego urządzenia, i bogaty zapas towaru.— Obszerna izba sklepowa, zapełniona była kupującymi, których żądaniom czterech młodych ludzi, snać pomocników właściciela, zaledwo nastarczyć mogło.— Sam właściciel, któregom zaraz poznał, starannie ubrany, siedział przy orzechowém biurze pod oknem, zapisując w rozłożoną przed nim księgę, bieżące rachunki.

Wybrawszy sobie, czego potrzebowałem i zapłaciwszy należność, zatrzymałem się jeszcze nieco, ażeby się w sklepie przerzedziło, dla pogadania z Cholewką, i dowiedzenia się od niego o szczegółach szczęśliwéj zmiany w jego losie.— Co gdy nastąpiło, a gospodarz wciąż pisał przy biurze, nie podnosząc głowy, zbliżyłem się więc ku oknu i rzekłem „Dzień dobry, panie Walenty,—i podając mu rękę, dodałem,— przebacz, że go po dawnemu pozdrawiam.

—Ach! to pan! zawołał Cholewka, rzucając pióro— witam łaskawego pana, jakże się cieszę, że go widzę w dobrem zdrowiu.— ale proszę bardzo do mojego mieszkania.

To powiedziawszy, ujął mnie za rękę i serdecznie ją uścisnąwszy, poprowadził szklanemi drzwiami, w tylnéj ścianie sklepu znajdującemi się do przyległych pokojów, z których dwa środkowe za mieszkanie, inne zaś za pracownię służyły.

Gdyśmy usiedli, rzuciłem dokoła siebie okiem, a widząc wszędzie dobry byt, rzekłem:

Cieszę się niewymownie tą pomyślną zmianą położenia, w jakiem cię obecnie, panie Walenty znajduję, —na które postępowaniem twojem i nieszczęściami zawsze zasługiwałeś; — powiedzże mi wszakże, proszę, jakiemu ją cudowi zawdzięczasz?“

—Z ochotą uczynię temu zadosyć, odrzekł Walenty. — Wiadomo dobrze panu, iż pożar w r. 1842 na Ogrodowéj ulicy, całe moje dość znaczne a uczciwie zapracowane mienie pochłonął. Zostałem, jak to mówią na bruku, ogołocony ze wszystkiego; — żona moja, którą już chorą z płomieni wyratowano, nie mając dość sił do zniesienia tak dotkliwéj straty, pożegnała się wkrótce z tym światem, pozostawiając mnie w mojéj niedoli z pięciorgiem małoletnich sierot.— Obarczony drobnemi dziećmi i przymuszony zastąpić im matkę, nie mogłem wszystkiego czasu poświęcić mojemu zawodowi, a tem samem, przy wzmagającéj się coraz drożyznie w mieście, zapracować na nasze utrzymanie. — Przeniosłem się z mojemi sierotami na Pragę, gdzie w małym dworku pod rogatkami nająłem mieszkanie;— lecz i tu nie posiadając warsztatu i potrzebnych narzędzi, zaledwie na liche wyżywienie byłem w stanie zarobić.

Tak przebyłem dwa lata,— dwa długie lata niedostatku, i straszniejszéj od niego obawy o przyszłość!... pracowałem, cierpiałem i modliłem się. Bóg wysłuchał pokornéj modlitwy, i ulitował się nad cierpieniami naszemi.

Pewnéj niedzieli wśród lata, po dniu nadzwyczaj gorącym, późnym już wieczorem, gdy dzieci udały się na spoczynek, siadłem na progu mieszkania, w smutnych jak zwykle pogrążony dumaniach;— nie spostrzegłem, że północ nadeszła, i że niebo czarnemi powlokło się chmurami, burzę zapowiadającemi. —Powstałem, chcąc wejść do stancyi, gdy od strony pobliskiéj rogatki, posłyszałem tętent galopujących koni, i turkot pędzącego po nierównym bruku, powozu,— zatrzymałem się więc, i wytężyłem wzrok w tamtę stronę; turkot zbliżał się coraz więcéj, wreszcie dojrzałem powóz unoszony przez parę dzielnych koni. O sto kroków może odemnie konie spłoszone przez psa, skręcają na bok, i w całym pędzie wywracają w przyległy rów.— Krzyk bolesny obił się o moje uszy.— Żywéj duszy na ulicy nie było. —Domyślając się nieszczęścia, pobiegłem ku powozowi i spostrzegłem na drodze około rowu młodzieńca lat dwudziestu kilku, z głową mocno skaleczoną, z któréj się krew obficie sączyła. Przy pomocy służącego i woźnicy, którzy lekkiego tylko szwanku doznali, udało mi się ocucić go, krew zatamować,— po obandażowaniu tymczasowem głowy, wsadziliśmy chorego do pojazdu, który mimo silnego uderzenia uszkodzony nie został, i w kilka chwil straciłem go z oczu.—Powracając do domu potknąłem się o jakiś przedmiot,— schylam się, przypatruję, i przekonywam, że to szkatułka.— Chciałem wołać i biedz za szybko oddalającym się podróżnym, by mu zwrócić jego własność: lecz już było zapóźno, bo ani on głosu mojego dosłyszeć, ani ja go dogonić nie byłem w stanie.— Zaniosłem więc szkatułkę do izby, i dla bezpieczeństwa na spodzie skrzynki ukryłem, w oczekiwaniu na właściciela. Jakoż zaraz nazajutrz zrana z okien dworku, w którym mieszkałem, dostrzegłem jakiegoś służącego w bogatéj liberyi, śledzącego pilnie miejsca zeszłonocnego wypadku; wdałem się z nim w rozmowę.— Był to istotnie służący owego podróżnego młodzieńca, lecz że w rozmowie nie wspomniał nic o zgubie, ja też z méj strony nic o znalezieniu szkatułki nie wspomniałem.

Takie było położenie rzeczy, kiedy tego samego dnia po południu zajechał przed moje mieszkanie wspaniały powóz, z którego wysiadł jakiś poważny pan, i o mnie zapytał.— Wybiegłem na jego przyjęcie, i z uszanowaniem wprowadziłem go do skromnéj mojéj izdebki.

Pan ów oświadczył mi zaraz, że jest hrabią N.... i ojcem młodzieńca, którego zeszłéj nocy przewrócono z pojazdem;— że przybywa we własnem i chorego syna imieniu, podziękować mi za udzielony mu ratunek, i wreszcie, że pragnąłby mi swą wdzięczność czynem okazać,— tembardziéj, że postępowanie moje, obok szczupłości zasobów, wszyscy sąsiedzi jak najlepiéj poświadczyli.

Skłoniłem się z pokorą hrabiemu na te pochlebne wynurzenia, zapytując go zarazem, czy syn jego, innego nie poruczył mu zlecenia?

— I owszem, odrzekł hrabia.

—Gdyby jednakże pan hrabia raczył mi je udzielić, to możebym zdołał spełnienie onego ułatwić.

—Mój syn obowiązał mnie nadto, ażebym zasięgnął wiadomości o szkatułce, która przy wywróceniu pojazdu unioniną została, —lecz z góry sta-

rałem się, niewczesną tę troskliwość wybić mu z głowy.

—A toż dlaczego panie hrabio?—gdyby pan hrabia raczył opisać szkatułkę, możebyśmy na ślad jéj trafili.

Tak pan sądzisz, rzekł hrabia,—patrząc mi w oczy.

—Szkatułka była mahoniowa, brązami okuta, wielkości małego kuferka, — z cyfrą A. D. na takiéjże tabliczce;— wewnątrz prócz rozmaitych drobiazgów, mieściło się w jednéj szufladce 50 dukatów w złocie i 5,000 złp. w listach zastawnych.

—Podobną opisanéj szkatułkę, może pan hrabia odebrać w téj chwili.

To powiedziawszy, wydobyłem ze skrzynki szkatułkę, i gdym się chciał zapytać, czy była ta sama, hrabia uprzedzając mnie, zawołał:

—Tak, tak,— to jest szkatułka mojego syna, mam właśnie kluczyk od niéj przy sobie, przekonamy-się, czy w niéj znajduje się to, co wymieniłem.

W istocie po otworzeniu znaleźliśmy w szkatulce to, co hrabia był opisał. — ,,Zwracam więc, rzekłem, zgubę panu hrabiemu, szczęśliwy, iż tak prędko właściciela znalazłem.

— Raz jeszcze powtarzam, rzekł hrabia, że nie szkatułka była celem mojego przybycia,— pragnąłem jedynie poznać cię osobiście i przekonać się bliżéj o twojem położeniu, cieszę się wszakże niewymownie, że wypadek ten ze szkatułką nastręczył mi możność przyjścia w pomoc niezasłużonéj niedoli.

Syn mój obejdzie się bez tych pieniędzy, i takowe ofiaruje ci przezemnie, a ja cię proszę, ażebyś przez wzgląd na drobne twoje dzieci ofiarą tą nie wzgardził.— Jeżeli zaś nie chcesz darowizny, to przyjmij te pieniądze jako pożyczkę, z któréj według twego uznania zrobisz swego czasu stosowny użytek na korzyść ubogich.—Co do szkatułki i drobiazgów, jakie w sobie mieści, te chciéj przyjąć na pamiątkę i w dowód szacunku, jaki obadwa z synem mamy dla ciebie:— Czy zgoda panie Cholewko?...

Zdumiony niespodzianem szczęściem, słowa nie byłem w stanie odpowiedzieć,— wzniósłszy tylko ręce i oczy do góry, zawołałem:— O Boże! jakże opatrznym i miłosiernym jesteś!...

Otóż tym sposobem szanowny panie, przyszedłem do tego sklepu!— Pracą, oszczędnością i zabiegłością podwoiłem wkrótce, dany mi przez hrabiego kapitał;—dziś go bez uszczerbku mogę użyć na cel przez niego wskazany.— Po długim rozmyśle, postanowiłem utworzyć z niego pewien rodzaj Lombardu dla wspomagania podupadłych rzemieślników, zakład ten za bardzo nizkim procentem wypożyczać im będzie odpowiednie potrzebie kwoty, a świadectwo uczciwości, pilności i oszczędności, jedyną będzie wymaganą od nich rękojmią.

—Myśl twoję panie Walenty, znajduję nader trafną;—sam byłem nieraz świadkiem, iż drobna zapomoga udzielona w krytycznéj chwili, byłaby niejednego z podupadłych rzemieślników zasłoniła od nędzy i postawiła na nogi, gdy z drugiéj strony, trudność w pozyskaniu dziś przez nich jakiéjkolwiek pożyczki, zmusza ich nieraz do sprzedania lub zastawienia warsztatu, towaru i narzędzi,— pozbawiając ich tym sposobem głównego środka zarobkowania.— Jakże byłoby rzeczą pożądaną, izby dobroczynna ta myśl, mogła rozwinąć się na większą skalę, przez utworzenie zbiorowe tego rodzaju zasiłkowego Lombardu, w którymby udział mieli wszyscy bogatsi majstrowie tutejsi,— usiłowania bowiem pojedyncze jakkolwiek chwalebne, przy względzie na szczupłość zakładnego kapitału, nigdy takich nie zdołają wydać owoców. Dlatego też powinienbyś panie Walenty! projekt podobny wnieść na zebraniu starszych zgromadzenia, a nie wątpię, że tak uczucia chrześcijańskie, jak i własny dobrze zrozumiany iuteres, skłoni ich do przyjęcia w nim udziału.

Lombard taki pozyskawszy zatwierdzenie i opiekę Rządu, mógłby być administrowanym przez wybrany komitet z grona najznakomitszych majstrów każdego cechu;— komitet tak złożony, znając bliżéj położenie i potrzeby każdego z podupadłych rzemieślników, udzielałby zasiłki, stosownie do uznania, już to w pieniądzach, już też w towarze lub narzędziach.

Zwrot podobnego zaliczenia uskuteczniony drobnemi ratami, z umiarkowanym procentem, nie byłby uciążliwym dla rzemieślnika, aby tylko miał ciągłą robotę, którąby mu mógł również zapewnić Komitet Lombardu, założeniem zbiorowego składu wyrobów rzemieślniczych, zakupem ich lub udzielaniem zaliczeń na wyroby do składu przyjmowane dla ich wyprzedaży.

Przekonany jestem, że uorganizowany w tym sposobie Lombard, przy koniecznych ostrożno-

ściach, nietylko że nie narażałby na żadne *risico* zakładowego kapitału, lecz nadto zapewniłby akcyonarjuszom pewny procent, obok wewnętrznego przekonania, że podali pomocną rękę uboższym swym braciom. Jest to, zapewne nader niedokładny zarys,—ale myśl ta natrafiwszy na serca szlachetne, może przy Bożéj pomocy obfite wydać owoce. Żegnam cię panie Walenty, życząc, aby przedwieczna Opatrzność wspierała dobre twe chęci.“

Na tem skończyła się pogadanka, a ja pełen myśli dotyczących polepszenia bytu klass rzemieślniczych, powróciłem do domu, aby opisać moję rozmowę, i wam ją bracia moi, przez pośrednictwo Czytelni Niedzielnéj, udzielić.

Rozmowa o Zegarach.

—

Było to w Maju. Professor Wzorowicz o wschodzie słońca wyszedł z Warszawy na majówkę z kilkoma uczniami, stojącymi u niego na stancyi, do lasku Bielańskiego. Bawiono się tam ochoczo, bo i dzień był prześliczny, i uroczy lasek, i zielone łąozki pobudzały do żywéj radości.— Po niejakim czasie młode towarzystwo, nabawiwszy się do syta, spoczęło w cieniu na murawie naokoło naszego ukochanego nauczyciela, i z wielkim apetytem zaczęło spożywać śniadanie.

Pogadanka szła o tém i o owém. Nareszcie stłuczone szkiełko u zegarka jednego z uczniów skierowało nieznacznie rozmowę do zegarów.— Lubiący się zastanawiać nad wszystkiem, Staś uczeń klassy 2éj zapytał:

—„Dziwna to rzecz, proszę pana Professora, jak też to ludzie przyszli do tego, aby taką drobnostką, jak zegarek, czas tak doskonale wymierzyć mogli?“

—„A cóż to dziwnego, przerwał żywy Oleś, pokazać czas na zegarku, kiedy doba cała nie może się inaczéj dzielić, jak tylko na 24 równych godzin, a zegarki znowu tak są urządzone, że na całą dobę dwa razy po 12 godzin wskazują z kolei?“

—„Może się zapytasz, Stasiu, rzekł Wicuś (wielki śmieszek), dlaczego te drzewa nie rosną w ziemię tylko do góry; tak cię to już wszystko obchodzi!“

—„Wicuś, zawsze Wicusiem, odezwał się professor, nie masz się czego śmiać ze Stasia; owszem, ja chwalę w młodym ciekawość. Ale znowu nie tak to łatwo ludzie przyszli do zegarów, jak się Olesiowi zdaje. Mylnie on sądzi, że dzień z nocą, czyli doba, na 24 godzin dzielić się może. Jest to podział dowolny, boć przecie dzień dla zegarów nie został stworzony. Pochodzi on ztąd, ze w odległych czasach, starożytne, ukształceńsze ludy dzień słoneczny (to jest bez nocy), dzieliły zwykle na 12 godzin; gdy zaś późniéj zegary wynaleziono, też same ludy mieszkające w cieplejszych, czyli południowych krajach, gdzie dzień jest prawie nocy równy, aby zegarami długość czasu wymierzyć, i na noc odliczyli 12 godzin, i ztądto powstał zwyczaj dzielenia doby na 24 równych godzin. Nawet i teraz Włosi np. w Rzymie i Neapolu urządzają zegary w ten sposób, aby 24 godzin biły i wskazywały.—Lecz nie są one tak dogodne jak nasze, najprzód, że tarcza zegara czyli cyferblat zanadto ma drobnych podziałów, a potem, trudno jest nie pomylić się w rachowaniu bijących np. 24ch godzin.

Ludy starożytne, jak Grecy i Rzymianie zaczynali zwykle liczyć godziny od zachodu do zachodu słońca. Nie myślcie jednak, aby już wszędzie teraz dobę dzielono na 24 godzin: nowsi podróżni zwiedzając dalekie od nas wyspy, przekonali się, że żyjące tam dzikie ludy nie mają najmniejszego pojęcia o podziale czasu na godziny. Najwięcéj używane teraz narzędzia, któremi czas tak dogodnie mierzyć możemy, jak wieżowe, ścienne i kieszonkowe zegary, długo jeszcze po narodzeniu Chrystusa nie były znane; są one wynalazkiem nowszych czasów.“

—„Podług mnie, odezwał się Wicuś, zegary tylko może w miastach są potrzebne; na wsi najlepszym zegarem jest kogut w nocy, a słońce we dnie.“

—„Nie przeczę, rzekł professor W. że dla wieśniaka i kogut jest niezłym, bo go na inny nie stać, ale zważ tylko, że i wieśniak niezawsze, budząc się na zapianie koguta, o świcie na rolę tylko wyrusza; im więcéj ma do czynienia z ludźmi w mieście, tém dokładniéj trzeba mu wiedzieć o godzinie, bo inaczéj albo musi więcéj czasu bezpotrzebnie strawić, albo też spóźnić się na miejsce. Zważ i to, że słońce często za chmurami zupełnie się kryje, tak samo jak i gwiazdy w nocnéj porze, według których wie-

śniacy miarkują się z czasem, a koguta z sobą wozić niepodobna.

—„O! prawda, zawołało kilku ze śmiechem, byłby to za wielki zegarek.“

—„Więc na to wychodzi, mówił dalej professor, że zegary wszędzie są potrzebne, a jeżeli ich biedny chłopek nie ma, toć to wiadoma, że on się niestety bez wielu i potrzebniejszych rzeczy obejść musi.“

—„Ten Wicuś zawsze nam przerywa, rzekł Staś; proszę pana Professora, jakim to sposobem ludzie przyszli do dzielenia czasu na godziny i do wynalazku zegarków?“

—„Ho! ho! nie odrazu Kraków zbudowano: z wielką pracą i cierpliwością zbliżali się ludzie do tego; wiele pokoleń kolejno pomarło, nie wiedząc nic o tym wynalazku; ale jeżeli mnie z uwagą słuchać będziecie, to wam o nim opowiem.“

— „Będziemy! będziemy!“ wykrzyknęli razem.

—„Jak też myślicie, co najprzód ludzi do podziału czasu przyprowadziło?“

—„Kogut!“ wykrzyknął Wicuś.

— „U ciebie zawsze wróble w głowie,“ przerwał Staś ze śmiechem, mnie się zdaje, że słońce.“

—„Trafnieś odpowiedział, rzekł pan Wzorowicz; w saméj rzeczy wschód i zachód słońca były najpierwszemi naturalnemi dnia granicami: ze wschodem słońca wstawali pasterze i rolnicy i szli do swéj roboty, z chylącem się zaś słońcem ku zachodowi udawał się wieśniak na spoczynek, bo noc nikomu nie jest miłą.

Ludzie zaś, którzy prawie ciągle pod odkrytém niebem żyli, musieli bez wątpienia najprzód to spostrzedz, że jedna część dnia gorętszą jest od drugiéj, i że to się prawie w połowie dnia trafia, kiedy słońce widocznie na niebie najwyżéj stoi, a cień wtedy od różnych rzeczy na ziemię padający, bywa najkrótszym. Jak teraz zmniejszający się i powiększający cień jest zabawką dzieci, tak też zapewne za dawnych czasów naprowadziło to pasterzy i rolnicze ludy do spostrzeżeń, że cień najkrótszy nie we wszystkie dni był równym, lecz, że w letnich miesiącach cień najkrótszy byłby mniejszym niż w zimowych, że po upływie roku całego, wracały się kolejno te same najkrótsze cienie, że wtedy kiedy cień jest najkrótszy, słońce było najwyżéj na niebie — i to dało zapewne trzeci punkt podziału dnia, to jest *południe*.“

—„To może także, odezwał się Oleś, i dało powód do wynalezienia kompasów?“

—„Bez wątpienia, rzekł professor, że podobne spostrzeżenia zmniejszających się i zwiększających cieniów naprowadziły starożytnych do tej pierwszéj miary czasu. Na długo przed narodzeniem Chrystusa mieli już Egipcyanie i Izraelici kompasy; niemniéj w odległych czasach i Rzymianie zauważyli punkt, do którego najkrótszy cień ich ratusza padał, i w tym czasie szedł miejski sługa przez ulice Rzymu i głosił, że już południe. — Żeby was zaś poznajomić, jakim sposobem starożytni przyszli do kompasów, muszę wam naprzód przedstawić niektóre okoliczności.

Wiemy, że czas między wschodem i zachodem słońca nie po wszystkie dni jest równy; w południowych też krajach dnie zimowe nie tak są krótkie, a letnie nie tak długie, jak u nas ku pólnocy, bo kiedy u nas najdłuższy dzień trwa około 18 godzin, to im daléj ku południowi świata, dzień trwa tylko 15, 14 godzin, a na połowie kuli ziemskiéj, jak w środkowéj Afryce i innych krajach, dzień schodzi na 12 godzin, to jest dzień i noc są sobie równe. I na odwrót, gdy u nas najkrótszy zimowy dzień zawiera tylko 7 godzin, za to w powyższych południowych krajach, dzień ma wtedy 9, 10 i tak daléj, aż znowu dochodzi do 12 godzin.

Jednak chociaż długość dnia w różnych stronach ziemi jest tak zmienna, to przecież oznaczono stosunkowy wzrost i ubytek cieniów od słońca na ziemię padających, w tych niejednakowo długich dniach; a to oznaczenie naprowadziło na myśl, aby czas od wschodu słońca aż do najkrótszego cienia t. j. południa, i od najkrótszego cienia aż do zachodu słońca tak w lecie, jak i w zimie na różne części podzielić, i te części oznaczano na deskach, na które cień naprzykład słupa padał.— Albo też, jak widzieliście zapewne, w deskę lub płyt kamienny, a nawet w mur, naprzeciw słońca utkwiono pręt żelazny, którego cień wskazywał godziny.“

—„Dobrze to wszystko, proszę pana Professora, ale jakże poznać te godziny,“ zapytał Staś.

—„To też słuchajcie, bo miałem wam to opowiedzieć. Pierwszy, który urządzał kompas, tak sobie postępował. Ze wschodem słońca, pierwszy cień, jaki padł od pręta, zaznaczył so-

bie na desce, gdy zaś cień był najkrotszym, to jest w południe, naznaczył to sobie drugim punktem, podobnie i trzeci, gdy cień był najdłuższym, czyli kiedy słońce zachodziło. Potem odegłość od pierwszego punktu do drugiego podzielił na 6 części, i tak samo odległość od drugiego do 3go punktu; miał więc od wschodu słońca do południa, i od południa do zachodu po 6 punktów, a gdy cień od pręta na każdy punkt z kolei przesuwał się, to miał oznaczone godziny, a chociaż liczba podziałów czasu, czyli tych godzin dowolną była, jednakże zgodzono się powszechnie, jak powiedziałem wyżej, od najdawniejszych czasów, aby dzień słoneczny na 12 godzin dzielić.“

—„Jednakże, przerwał Staś, trzeba było chyba mieć dwa kompasy, jeden na dnie zimowe, a drugi na letnie, boć przecie czas od wschodu słońca do południa, lub od południa do wieczora nie zawsze jest jednakowo długi?

—„Słuszna uwaga, rzekł pan Wzorowicz, godziny na kompasach zawsze w lecie, t. j. w czasie dni najdłuższych, były większe niż w zimie, ale dopóki na innych narzędziach zbywało, musiano i na tem poprzestać.“

—„A jakże ludzie dawniéj wiedzieć mogli, która jest godzina w nocy; bo kompasy przecie tylko we dnie służyć mogły, i to kiedy chmury słońca nie zakrywały? zapytał Wicuś.

—„Przynajmniéj raz Wicuś dorzeczne zadał pytanie, rzekł pan professor z uśmiechem.— Zapewne, że ludzie musieli o tem pomyśleć, bo też po kompasach wynaleźli *wodne zegary*, któremi i w nocy czas wymierzyć mogli. W bardzo już bowiem dawnych czasach używano miseczki szklanéj, z któréj przez mały otwór woda kroplami spadała w inne takież naczynie. Postąpiono sobie w tym celu tak: spostrzeżono najprzód, wiele wody z jednego takiego naczynia czyli miseczki od wschodu słońca aż do południa w inne pod nią stojące naczynie kroplami spadło? Ten czas uważano za połowę dnia słonecznego, a wodę w tym czasie na dół spadłą rozdzielono na 6 równych części; potem wzięto 6tą część wody, i przelano ją z dolnego do górnego naczynia, a gdy ta kroplami na dół spadła, brano to za jednę godzinę i ciągle to przelewanie powtarzano. Potém postąpiono sobie dogodniéj. Zauważano bowiem, jak wysoko za upływem każdéj godziny, woda spadając kroplami w dolném naczyniu wznosiła się, i zaznaczano te punkta, tym sposobem wiedziano wiele godzin od wschodu do zachodu słońca upłynęło. Jednakże tutaj dla téj saméj przyczyny, jak i przy kompasach, gdy czas od wschodu słońca do południa nie w każdéj porze roku jest jednaki, więc i godziny w wodnych zegarach różnéj długości bywały, i trzeba było co miesiąc prawie innego wodnego zegara. Prócz tego woda w lecie przez ciepło się rozszerza, a w zimie kurczy i często zamarza; nadto gdy wodę przelewano z dolnego w górne naczynie, można jéj było nieco utracić, a w miejsce tego braku łatwo było przylać zawiele; dla tych więc przyczyn wodne zegary nie mogły dokładnie godzin pokazywać. Pomyślano zapewne dla tej niedogodności o *klepsydrach* czyli zegarach piaskowych.— Ale wprzód wam jeszcze opowiem ciekawą rzecz o sztucznym wodnym zegarze, jaki pewien arabski monarcha (Aarun al Raszyd) około 809 r. po nar. Chr. Karolowi Wmu cesarzowi podarował. Naczynia górne i dolne tego zegara były metalowe ze skazówką; tak zaś był urządzony, że ile godzin upłynęło, tyle metalowych kulek z brzękiem na tackę na dole umieszczoną spadało, i głos jakby dzwonka wydawało. Zarazem, stosownie do ilości upłynionych godzin, ze spadającemi kulkami występowali ze drzwi rycerze, którzy z ostatnią godziną dnia nazad się chowali, i drzwi się zamykały.

—„To zapewne też po wodnych zegarach ludzie przyszli zaraz do naszych zwykłych zegarów?“ zapytał Oleś...

—„Jeszcze dużo wody upłynęło, rzekł professor, nim nasze zegary wynalezione zostały; ale słuchajcie daléj. Dogodniejszemi od wodnych zegarów miarami czasu, jak wyżéj rzekłem, były klepsydry, których dopiero około narodzenia Chrystusa używać zaczęto. Brano zwykle dwa lejkowate szklane naczynia, połączone z sobą w wązkich otworach; miały one niejakie podobieństwo do kielicha. W górne naczynia wsypywano ze wschodem słońca miałki suchy piasek, ten przesypywał się zwolna w dolne naczynie, a gdy południe nastało, rozdzielono ten piasek na 6 równych części, następnie przesypywano każdą szóstą część z dolnego w górne naczynie, czyli przewracano klepsydrę, tak, jak postępowano z wodą przy wodnych zegarach, i i tym sposobem wiedziano, kiedy godzina upłynęła. Na okrętach używane czasami klepsydry napełniają zamiast piasku, żywem-srebrem.— I

te miary czasu nie w każdej porze równe godziny pokazywały, dlatego, iż słońce nie zawsze jednakowo wschodzi i zachodzi.

Nasze zaś używane teraz zegary nie wymierzają czasu ani wodą, ani piaskiem, ani też potrzebują długości cieniów, aby pokazywały godziny. Bywają one przez kółka w ruch wprawiane, a te kółka poruszają się albo przez ciężar, jak w wieżowych i ściennych zegarach, albo przez uginającą się sprężynkę, jak to jest w kieszonkowych zegarkach.

Zegary z wagami dawniéj wynaleziono, niż te ostatnie. Jeden z pierwszych takich zegarów wagowych, o którym wiadomość mamy, zrobił około 996 r. po narodzeniu Chrystusa francuzki zakonnik Gerbert w Magdeburgu w Niemczech, który potem papieżem pod imieniem Sylwestra II został. Jednak ten zegar pokazywał tylko godziny, bez bicia. Kto to ulepszenie wykonał, nie wiadomo; pięćset lat temu upływa, jak pierwszy bijący zegar, o którym wiadomość mamy, był wykonany w m. Padwie, (*) a w kilkadziesiąt lat potém podobnyż pojawił się w Paryżu na wieży królewskiego zamku. Wszystkie jednak te zegary były jeszcze niedokładne, bo im brakowało *pendulu* czyli wahadła, które *gang*, czyli bieg zegaru przy opuszczaniu się wag robiło regularnym. Ten nadzwyczaj ważny wynalazek zawdzięczamy dwom znakomitym ludziom: Galileuszowi z miasta Florencyi we Włoszech, zmarłemu lat temu dwieście kilkadziesiąt, i francuzowi Hijgensowi, w 52 lat po pierwszym zmarłemu.

—„Przepraszam pana Professora, rzekł Staś, kiedy też w Polsce pierwszy raz się zegary zjawiły?

—„Zapewne przeszły one do nas niedługo po ich upowszechnieniu się w sąsiednich nam Niemczech, to jest mniéj więcéj 400 lat temu. Ale słuchajcie daléj. Sztuczniejsze od poprzednich są jeszcze kieszonkowe zegarki. Historya nas uczy, że myśl tych zegarków najpierw podał Włoch Sekkada, lecz Piotr Hele mieszczanin z m. Norymbergi był pierwszym, który, lat temu 300 kilkadziesiąt, zegarki kieszonkowe robił; miały one kształt jajka i dlatego je nazywano *norymbergskiemi jajkami*.— Umiano jednak i dawniéj bardzo małe kieszonkowe zegarki robić. Karol Vty Cesarz Niemiecki lat temu 300, nosił w pierścieniu zegarek ze skazówkami i dzwoneczkiem, a 200 lat przed nami możniejsze panie nosiły zegarki jako kolczyki. — Jednakże te pierwsze zegarki nie były tak dokładnemi i regularnemi, jak teraźniejsze, mianowicie cylindry; pokazywały one tylko godziny bez minut i nie miały sprężyny i łańcuszka. I tu także ów Hijgens, ten sam, który wynalazł zegary wahadłowe, ulepszył zegarki kieszonkowe.

Kończąc wam moje opowiadanie o zegarach, wspomnę jeszcze o sławnym zegarze wieżowym bez kół zębatych księdza Lamblina, który w roku zeszłym był na wystawie w Paryżu. Nic prostszego jak ten zegar wieżowy. Zegar ten jest bardzo regularnym, bo ani zimno, ani ciepło, ani wilgoć nie ma wpływu na jego części.— Składowa waga poruszająca zegar waży zaledwie dwa funty; zakrystjan naciąga go, pociągając za sznur wiszący obok sznura dzwonka, albo nawet dzwoniąc tylko na Anioł Pański z rana, w południe i wieczór. Nie potrzeba także regulować go, nakręcać, smarować lub czyścić. Ksiądz Lamblin zrobił go dla swéj parafii, któréj nie stać było na kupienie zwykłego wieżowego zegaru. Ten też tak prosty, a zadziwiający zegar nie może więcéj kosztować, według słów jego wynalazcy, nad sto kilkadziesiąt złotych, a późniéj bez wątpienia i tańsze będą.

U nas niema fabryki zegarków — gotowe nasi zegarmistrze sprowadzają.—Ale mogę wam powiedzieć z chlubą, że najlepsze zegarki na cały świat, wyrabia w Genewie Polak *Patek* mający w tem mieście ogromną fabrykę zegarków.—Na wystawie wyrobów całego świata w Londynie, i na takiéjże wystawie odbytéj w zeszłym roku w Paryżu, on otrzymał pierwsze nagrody za najlepsze wykończenie i udoskonalenie wyrobów zegarmistrzowskich, tak, że nietylko u nas, ale w Paryżu, Londynie i innych wielkich miastach Europejskich wszyscy starają się o zegarki Patka.— Patek urządza swe zegarki w ten sposób, że regulowanie i nakręcanie zegarka odbywa się bez pomocy osobnego kluczyka, jedynie przez stosowne obracanie główki zegarka, do któréj przytwierdza się zwykle kółko na łańcuszku.

(*) Padwa we Włoszech.

W drukarni J. Unger.—Wolno drukować. Warszawa d. 25 lipca (6 sierpnia) 1856 r.— Starszy cenzor. F. Sobieszczański.